

dło krocie wyrzutow, tych, które zbliżający się jubileusz miał koronować... Znów mu zawyło w mózgu krocie zapytań, wszystkie na jedną nutę — zmarnowanego życia.

— Spójrzj wokół — kasało jedno po drugim — wszystko tu żyje celem i pracą... O, tu jaskółka urabia muł na gniazdko, nad nią pokrzywka odrywa dzióbkiem zeschniętą trawkę, a wszystko śpiewa i pracuje, bez szalu, z zdrową radością, wedle przyrodnych norm... Nic się tu nie wyradza, nie paczy, nie zaraża... Ta ożmina wyda chleb to płaciwo pokolenie i pieśń dla ludzkiej wesołości, na ucztę duszy i wytechnienia, te kwiaty rozsiewa nowe ziarna... A ty co dałeś i pozostawiasz poza sobą, komu służyłeś i z czym odejdziesz?

Golefi usiadł na brzegu rzeki i twarz zanurzył w dioniach. Zdawało mu się teraz, iż wszedł tu jako profan, kalając sobą dzieviczo czystą pierś przyrody. Tak to nagle uczucie silnie nań podziało, że płacz go porwał niewstrzymany, kędyś od trzewiów, rwący. Płakał, nie zdając sobie sprawy, co te łzy wywołało, takie gorące i obfite. Czy widma lat ubiegłych, starcza samotność, czy ta śmiejąca wiosna. Płakał i z żalu i radości, na widok słońca i na wspomnienie grobu, jak człowiek, co pieści kogoś przed rozstaniem. Płacz ten prawie że mu nie sprawia bólu, a wraz ze łzami zdała się spływać z jego serca sucha, spękana kora spleczonych szaleństw lat —

Kiedy po jakiejś chwili przetarł mokre źrenice i podniósł oczy, wzrok jego padł na pla-

szyste wybrzeże, zasadzone ukośnie ciętymi palikami wiklinnej łoży. Ta niewybredna kultura chróstu wyglądała niby grubz, rzadkie ściernisko, wichurą pochylone ku ziemi.

Początkowo nie mógł się zorientować, jaki cel przedstawia dziwaczna ta robota, dopiero po pewnym zastanowieniu odczytał jej tajemnicę. Błache napozór spostrzeżenie sprawiło mu niezwykle widać radość, bo powstał z miejsca rozjaśniony i podszedł do sadzonek. Przyglądał im się z natężoną uwagą, jakby pragnął spamiętać sposób sadzenia w ziemię i ilość posiatwionych oczek.

Natchniony jakąś myślą, zaczął iść dalej brzegiem rzeki, bacznie się za czemś rozglądając.

— Tak, tu jest odlóg — szepnął, zoczywszy goly skrawek wybrzeża. — Potrzeba go zasadzić, potrzeba...

Ujął w rękę scyzoryk i wszedł w wiklinny lasek. Począł ścinać łożę za łożą, ćwiartować je w kawałki, dopóki nie zebrał ich naręcze. Nie dbał na czarny żakiet, który się walał w tej robocie, czuł wielkie szczęście i szczere zadowolenie, że — pracę tę wypełnia...

Po przygotowaniu odpowiedniej ilości sadzonek, wrócił na odlóg i jął kolejno wtykać je w namulistą ziemię. Czynił to z widoczną troskliwością, odmierzał odległość na dwie stopy, równo, dokładnie, niż tam widział.

— Rośnij wierzbinco moja droga — mówił niby do dzieci — rozwijaj oczka i patrz na słońce... Dobierałem cię umyślnie taką, co le-

dwie obudzoną, abyś tem łatwiej przyjąć się mogła. Za późno może przybył, ale z serdeczną chęcią... Tyś mię natchnęła cudem czynem i zeslesz może przebaczenie...

Pełną godzinę trwała rzetelna jego praca, wreszcie sprostował się zmęczony, spoglądając na dokonane dzieło. Oczy pały mu weselem — nadrzeczny odlóg wyglądał teraz jak sadownicza gręda...

— Niechże choć tyle po sobie pozostawię, choć tyle ręką swą dokonam... Niewiele to, maleńko, ale choć tyle... I jutro przyjdę — i znów posadzę... O, jak mi łżej, uciszenie! Jedna godzina trudu, a tyle szczęścia, Boże!..

Uszczęśliwiony, błakał się długo ponad rzeką, czyniąc przedziwną spowiedź trawom — gałązkom — wodzie... Zda się, że odżył innem życiem przez ten mały wysiłek pracy, że się odświeżył skruczą.

Wracając w stronę miasta, postanowił odszukać jasnowłosego poetę, o oczach natchnionych wiosenną pieśnią i nieskalanym błękitem niebios. Czuł, że mu krzywdę wielką wyrządził...

Gdy po tygodniu obchodził Golefi swoje nadrzeczne grządkę, dosirzegł na pierwszej świeżo rozwite pędy. Widać przyjęły się i rosły już ku słońcu, młodzikutkie, ledwie wykiute z oczek...

I znowu łzy nabiegły mu do oczu, promienne, jak ta wiosna i szczęście, jak ta jedna godzina —

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

19)

Detektywi bez słowa sklonili się głęboko i podążyli za nim.

Pan de Valdeuse prowadził ich przez szeregi sal i korytarzy na drugi koniec zamku. Lękał się, aby ktoś ze służby mimowoli nie podsłuchiwał rozmowy.

Kiedy nareszcie zatrzymał się w okrągłym pokoju, który niegdyś służyć musiał za domową oranżeryę, hrabia odwrócił się po raz pierwszy i spojrzał na swoich gości.

— Nazwiska panów? — zapytał krótko.

— Brood i Piller — odpowiedział mały detektyw.

— Siadajcie panowie i mówcie. Jakle macie wiadomości?

— Pan hrabia daruje — wyrzekł, kłaniając się Brood — ale my nie możemy wiedzieć, co pana hrabiego najwięcej interesuje. Mamy rozkaz od lorda Halley odpowiadania tylko na pytania pana hrabiego.

— Ależ do dyabła! Mnie interesuje wszystko — zainteresował się pan de Valdeuse.

— My jednak możemy wypełniać tylko rozkaz lorda Halley — odezwał się Piller.

— Niechże i tak będzie. Gdzie jest miss Elva?

— Znajduje się obecnie niedaleko zamku Rochegrise, we wsi Monestier.

— W Monestier? — zawołał hrabia — Tu-taj! tak blisko?

— Tak jest, panie hrabio — uśmiechnął się z zadowoleniem Brood.

— Ależ tam niema żadnego hotelu, żadnego zajazdu? U kogoż ona być może?

— U proboszcza, pana Pegrusse.

— A to ciekawe!

— To samo mówiłem właśnie do mojego kolegi Pillera.

— Czy jest sama?

— Towarzyszy jej pan Armand Sorel. Przeczytaliśmy jego nazwisko na blaszce jego walizy.

— Ah! — mruknął niemile zdziwiony pan de Valdeuse. — Jakież może być wzajemne stanowisko miss Elvy i tego pana?

— Zachowują się, jak para rozkochanych gołąbków...

— Ciekawe... ciekawe... — mruknął pan de Valdeuse. — Słuchajcie panowie — zwrócił się do agentów. — Chcę, abyście starannie strzeżli

plebanii i jutro już mogli mi dać pewne wiadomości co do stanowiska tej młodej dziewczyny w domu proboszcza Pegrusse, bo naprawdę szczególne to schronienie dla kobiety, która tak niedawno jeszcze produkowała się publicznie wraz ze swoimi tygrysami.

— Postaramy się dowiedzieć jak najwięcej — przemówił poważnie milczący dotąd Piller.

— Doskonale. A że nie życzę sobie, abyście się pokazywali w zamku głównym wejściem, starajcie się zawsze przychodzić tutaj — na-dejść od strony tej oranżeryi.

— Oh! to nie przedstawia dla nas żadnych trudności! — zawołał mały Brood — mury ogrodu nie są zbyt wysokie.

— Tymczasem zechciejcie przyjąć tę małą gratyfikację, jako docenienie przyszłych waszych usług, które stać się mogą dla mnie bardzo użyteczne, jak mnie zapewnił mój przyjaciel lord Halley.

Brood uklonił się głęboko i wyrzekł z przejęciem:

— Pan hrabia liczyć na nas może. Jutro przed wieczorem przybędziemy z wiadomościami.

Kiedy po jakimś czasie detektywi wychodzili z oranżeryi, twarze obydwóch jaśniały zupełnem zadowoleniem.

— Mój mały Broodzie — mówił z komiczną powagą olbrzymi Piller — zdaje mi się, trzymamy dobrą sprawę w rękach. Zależy tylko od naszego sprytu, aby jak najwięcej stufrankówek wyrwać z kieszeni tego kochliwego hrabiego.

VIII.

Tymczasem Marcin Legarade, jako prawdziwy wieśniak, mściwy i uparty, pielęgnował w sobie złe wspomnienie, jakie pozostawił w nim „Zły pasterz“, spotkany pod fatalnymi skalami Rochegrise.

A przytem, z biegiem dni, lekkie podejrzenie co do zjawy nocnej, obudziło się w jego umyśle. Widmo „pasterza“, jak na istotę bezcielesną, miało za silną rękę...

Rezultatem tego podejrzenia było, że Marcin codziennie rano o wczesnej godzinie i o zmierzchu szedł na sam koniec wsi i patrzył uparcie w stronę złowrogich skał.

O kilkadziesiąt kroków od ostatniego zabudowania znajdowało się pewne płaskie wznie-sienie, z którego rozciągał się widok na okolicę, a szczególnie na wąską drożynę, ciągnącą się pod skalami.

Tam to chodził Marcin i obserwował.

Tego wieczora znajdował się on na swoim posterunku trochę wcześniej niż zazwyczaj i po niedługim oczekiwaniu ujrzał nagle jakąś ol-

brzymią sylwetkę, wstępującą na ścieżkę u samego wejścia do skał.

Marcin był chłopcem odważnym, jednakże zadrżał całym ciałem, ujrawszy cień tajemniczy.

Co to być mogło?

Cień się posuwał, widoczny na ile śniegu, ale posuwał się w dziwny jakiś sposób, powolny, podskakujący.

Marcin nie namyślał się długo. Zdumiony i wystraszony tem olbrzymim zjawiskiem, które w sobie nic ludzkiego nie miało — zsunął się ze wznieślenia i co ichu pobiegł do wsi, do domu szewca, gdzie zawsze wieczorem schodziła się młodzież z innych domów na wesołą pogawędkę.

— Oh! przyjaciele! — zawołał, wpadając do izby. — Zobaczyłem „go“ przed chwilą... tak, tak, powiadam wam, zobaczyłem go... wałęsa się szelma koło Cartowskiej skały. Biegnijcie prędko, okrążymy go, póki jeszcze całkiem nie zapadnie!

— Ale czy ty nas nie oszukujesz, chłopcze? — zapytał szewc Vandatour.

— Co znowu! Wiercie mi, że nie mam wcale ochoty do żartów. Olbrzymi jest, powiadam wam, ma więcej jak dziesięć stóp wysokości. Czegoś podobnego nie widział jeszcze żaden z nas.

— A więc chodźmy — zdecydował bez namysłu szewc, który uchodził za najsilniejszego i najodważniejszego człowieka ze wsi. — Ale ilu nas jest? Czy nas będzie dosyć!

— Dosyć, dosyć! Jest nas siedmiu! — zawołał jeden z młodych ludzi.

Za chwilę dom był już pusty.

— Idźmy ostrożnie, żeby go nie spłoszyć — zauważył któryś.

Szli w zwartej linii, każdy uzbrojony w to, co mógł pochwylić, w poważnem, skupionem milczeniu.

Wypawa nie należała do bezpiecznych. Kto wiedzieć mógł, z kim się będzie miało do czynienia? Różne i tragiczne opowieści krążyły po okolicy o tajemniczym „Złym pasterzu“. Kto spotkał się z nim oko w oko, nie wychodził żywy z tego spotkania.

— Czy widzieli go! — przerwał wreszcie Marcin, kiedy znaleźli się już w polu, poza obrębem wsi, wskazując na ruchomy, gigantyczny cień, posuwający się powoli w ich kierunku.

— Hol hol! — szepnął szewc, wytrzeszczając oczy — Dyabelnie wielki i straszny!

— Słuchajcie-no, dajmy lepiej pokój! — stchórzył jeden z młodych wieśniaków — To nieczysta sprawa!

(Ciąg dalszy nastąpi.)